



STANISAW SMOLKA

**POLACY
CZESI
I NIEMCY**

ARMORYKA

Stanisław Smolka

Polacy, Czesi i Niemcy

**Armoryka
Sandomierz 2018**

POLACY,
CZESI I NIEMCY.

NAPISAŁ

STANISŁAW SMOLKA.



KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1898.

Projekt okładki: Juliusz Susak

Copyright © 2018 by Wydawnictwo „Armoryka”

**Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>**

ISBN 978-83-8064-634-6

OJCU

W JEGO ROKU JUBILEUSZOWYM
W PIĘĆDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WYBORU
NA PREZYDENTA PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO
A ZARAZEM W TRZYDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WNIOSKU
KTÓRY POSTAWIŁ W SEJMIE GALICYJSKIM
DNIA 22 SIERPNIA 1868

SYN.

I.

Sojusz z Czechami.

Mając czternaście lat, byłem tak skromnym i apatycznym młodzieńcem, że nie obaliłem wówczas ani jednego gabinetu, nie zmusiłem ani jednego monarchy do abdykacyi, nie wplątałem w sieci mojego wszechwładnego wpływu ani jednego stronnictwa politycznego. Mimo to, po swojemu, po dziecinnemu, brałem serdeczny udział we wszystkim, co się działo w kraju. A była to epoka tak zupełnie inna od dzisiejszej. Działo się wiele złego; wówczas, ledwie przebrzmiały były ostatnie strzały powstania, a parę lat przedtem przygotowywały się te straszne nieszczęścia, z których nie dźwignęliśmy się dotąd i nie wiadomo, czy kiedy się podźwigniemy. Ale było coś heroicznego w atmosferze owej epoki: o uszy dziecka obijały się, nie wrzaski bijatyk w marmurowych salach parlamentów, nie hałas druzgotanych pultów, ale zrazu przerażające wieści o krwi przelanej na ulicach Warszawy, a później o tem wszystkim, co działo się po dworach szlacheckich w Królestwie, na stokach cytadeli warszawskiej, w dalekiej Litwie pod rządem Murawiewa.

Wtedy to w sercu dziecka odegrał się bolesny dramat, który żywym wspomnieniem odzywa się do dnia dzisiejszego, jak gdyby to było wczoraj, chociaż 35 lat już minęło. Byłem w spisku z starszem rodzeństwem: rozbiłem skarbonkę z kilkoletnimi oszczędnościami, żeby w tajemnicy przyłożyć się do uzbrojenia brata, który podążał do powstania; a dzień w dzień, przy stole, przy każdym zebraniu rodziny, musiałem słuchać, co mówił Ojciec, piętnując mianem szaleństwa rozpaczliwe przedsięwzięcie, w którego blasku wyobraźnia dziecinna widziała już rychłe ziszczenie wszystkich ideałów: koronacją króla polskiego na Wawelu. I nie mogło się to pomieścić ani w głowie, ani w sercu dziesięcioletniego chłopca, żeby ten Ojciec, o którego czteroletniem więzieniu tyle się nasłuchałem, który przed laty na to wyszedł z celi więziennej, aby usłyszeć wyrok śmierci, słowa ulaskawienia, a zarazem srogi wyrok ruiny bytu swojego i rodziny całej — żeby ten człowiek, na którego nie ja jeden patrzyłem jak na wzór wszelkiej doskonałości — ranił tak srodze najświętsze wówczas uczucia i równocześnie wystawiał osiwiłą głowę na innego rodzaju wyroki, spadające z błyskawiczną szybkością, o których się codzień tyle słyszało...

Trzydzieści lat właśnie mija — było to w sierpniu r. 1868 — mój Ojciec postawił na pierwszym posiedzeniu ówczesnej sesji sejmowej swój głośny wniosek względem cofnięcia pamiętnej uchwały z dnia 2 marca 1867 roku, w której Sejm galicyjski uchwalił wysłać delegacją do Rady Państwa, wbrew poprzedniej umowie z Czechami, wchodzącymi na drogę abstynencyi. Wniosek ten ledwie doznał poparcia, potrzebnego do regulami-

nowego traktowania; pozostał zatem manifestacją jednostki, zupełnie izolowanej, którą też, mimo jej przeszłości politycznej, mimo powszechnych osobistych sympatyj, uznano przedwcześnie za człowieka politycznie umarłego, co stwierdzono ostentacyjnie, nie wybierając go na tej sesji sejmowej, ani do jednej komisji. Na tem samym zaś posiedzeniu, Zyblikiewicz, w zgodzie z przeważną większością Koła polskiego, postawił pamiętny swój wniosek, z którego wywiązała się tak zwana Rezolucya. Żywo mnie to wszystko stoi w pamięci, stałem bowiem, jako czternastoletni chłopiec, zaciekle walki z moimi rówieśnikami, bardzo podobne do dzisiejszych zapasów parlamentarnych, i zdobyłem w nich dużo guzów, gdyż byłem w klasie podobnie izolowany, jak mój Ojciec w Izbie sejmowej. Nam nie chodziło o abstynencyą albo też o obesłanie Rady Państwa, ale o sympatyą i antypatyą do Czechów, a zaciekleść na Czechów była u nas w owej chwili tak wielka, że nie tylko w szóstej klasie łatwo było guzy oberwać, jeżeli ktoś się odezwał z dobrem słowem o »pobratymczym narodzie«.

Welche Wendung durch Gottes Fügung: dziś to, co stanowiło myśl zasadniczą Rezolucji, *die Sonderstellung Galiziens*, stało się hasłem Wolfa i Schönerera, postulatem naszych najzawziętszych wrogów, przeciw któremu bronimy się solidarnie wszelkimi siłami. Ja zaś, nie mając już lat czternastu, a nie zmieniwszy się zgola w dawnych sympatyach do Czechów, sprzeczam się nieraz na zabój z wytrawnymi politykami, którzy — jak na mój gust — zapędzają się czasami za daleko w swoich czeskich sympatyach. To mnie bowiem już razi stanowczo, jeżeli obecnie następcą Zyblikiewicza,

witając »braci czeskich« na dworcu krakowskim, przeklina niegodziwych Niemców, że przed wiekami nas rozdzielili i że tylko przez ich czarną intrygę nie jesteśmy — jednym narodem. Bo gdybym nie był historykiem i gdybym mógł wierzyć temu, co mówiono na »święcie zbratania«, błogosławiłbym Niemców za tak skuteczną intrygę, dziękuję bowiem Panu Bogu, że mnie stworzył Polakiem, nie Słowianinem.

Byłoby to jednak dzieciństwem, irytować się zbyt mocno jedną lub drugą taką ekstrawagancją. Przyjąć je raczej z dobrodziejstwem inwentarza, jeżeli możemy się radować tem dobrodziejstwem prawdziwie opatrnościowem, jakim jest niezawodnie dzisiejsze, daj Boże nie przelotne, zsolidaryzowanie całego naszego społeczeństwa, niedawno jeszcze tak rozbitego, pod sztandarem trwałego sojuszu z Czechami. Hasło tego sojuszu budzi powszechnie tak szczery, gorący zapal w całym kraju i stwarza harmonią tem wspanialszą, tem bardziej budującą, że przeciw niemu odzywa się jedynie, tak u nas jak i u Czechów, wstrętny zgrzyt żywiołów przewrotu, które tem samym zdemaskowały najzupełniej swe antynarodowe dążenia.

Trwały, ale rzeczywiście trwałe sojusze z Czechami rokuje nam i im nieobliczone korzyści, nie na dziś tylko i jutro, a może nawet więcej ze względu na ogólne, najżywotniejsze interesa obu narodów, aniżeli na sprawy polityczne. Nie trzeba być bynajmniej entuzyastą słowiańskim, żeby to wyrozumieć i przejąć się głęboko tem przeświadczeniem. Podobno nawet, im trzeźwiej kto na to patrzy, im mniej ulega chwilowej excytacji nerwów, tem jaśniej zda sobie sprawę z wielkiego dobrodziejstwa, jakim stać się może z biegiem

czasu nasz trwały sojusz. I może rzeczywiście trzeba być na to długoletnim przyjacielem Czechów, może trzeba było przez lat trzydzieści, w skupieniu i w odosobnieniu, wiele przemyśleć i przemarzyć, żeby sobie jasno zdać z tego sprawę w pomyślnej chwili, której się napróżno wyglądało od dawna.

Jak dotąd, Czesi i Polacy różnemi najczęściej chodzili drogami, nie tylko za naszego pokolenia i poprzedniego, nie tylko od roku 1848, od czasów przebudzenia się czeskiego narodu po dwuwiekowym letargu. Tak było i przed Białą Górą, w ciągu poprzednich siedmiu wieków historii obu narodów. I przedewszystkiem należy stwierdzić kategorycznie, czy to się komu podoba czy nie podoba, czy to źle było, czy dobrze, że i Polska i Czechy miały, mają, i mieć zawsze będą niezaprzeczone prawo: rozchodzić się w swoich drogach, ilekroć tego wymagają żywotne interesa jednego lub drugiego narodu. Stwierdźmy, że nas wiąże silny węzeł wspólnych interesów, interesów najwyższych, ale nie urojony postronek jakiejś nieokreślonej chimery, znanej pod nazwą «współplemienności». Dzięki Bogu, jesteśmy czemś więcej, niż Słowianami, i nie możemy ani nie chcemy oddawać się w niewolę niezdrowej idei, któraby nas zmuszała iść zawsze razem, bez względu na indywidualne potrzeby narodowe, z wyrzeczeniem się narodowych ideałów, z zaprzeczeniem tego, co stanowi istotę naszych wybitnych indywidualności narodowych. Gdyby było inaczej, byłibyśmy zaprawdę *minderwertige Nationen*, bo przecież żadnemu Francuzowi czy Hiszpanowi nie przyjdzie nigdy na myśl, poczuwać się do solidarności z Włochem albo Rumunem, w imię współplemienności romańskiej, jeżeli tego nie wyma-

gają rzeczywiste potrzeby, jeżeli braknie realnych punktów stycznych.

Mimo to, a raczej właśnie dla tego, wolno nam wyrazić nadzieję, że dzisiejszy nasz sojusz z Czechami ma takie rękojmie trwałości, jakich nie było nigdy, nawet przed pięciu wiekami, kiedy się zabierało na niedoszłą Unią obu narodów, pod wspólnem berłem Jagielly. Bo wiąże nas, nie chimera współplemienności, nie złudny sentyment, który się może zmienić po kilku latach, ani też chwilowa sytuacja polityczna, która też zmianom ulega za lada powiewem wiatru. Wiąże nas coś wyższego i coś trwalszego: konieczność wspólnej obrony tego wszystkiego, co uważamy za najwyższe i najświętsze dobra, nie tylko jako Czesi albo Polacy, ale z e stanowiska ludzkiego. I będziemy o te dobra walczyli, nie tylko pod naszym starem hasłem: *Za wolność naszą i waszą*, ale w zwartym szeregu, skupieni pod sztandarem, na którym jaśnieje godło: *Za życie nasze i wasze, życie doczesne i przyszłe...* za to wszystko, co nam wszystkim jest świętem; co jest, albo powinno być najświętszem także i naszym nieprzyjaciołom. A w tej walce słuchać będziemy natchnionego głosu, którym nasz poeta przemawia do mających zmartwychwstać:

Bądź cierpliwością; tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną — której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju...

Cóż nas, właściwie, tak silnie związało z Czechami w obecnej chwili? Oto właśnie taka wspólna przegrana, bolesna dla nas i dla nich, przegrana, która — wierzymy

w to głęboko — w końcu jednak musi wygrać na wieki. A jak potrzeba brać się do tego, ażeby gmach swój stwarzać z niczego, powoli... w tem Czesi mogą być nam budującym wzorem i przykładem, nie nam tylko, ale wszystkim narodom. Wszak to tak niedawne jeszcze czasy, dzisiejszym pokoleniom pamiętne, kiedy społeczność czeska, poczuwająca się do swojej narodowości, zamknięta była w ciasnym kółku kilkunastu zaledwie ludzi, bez wpływu i znaczenia, których uważano po prostu za maniaków, jeżeli w ogóle kto o nich wiedział. Oni sami mówili wówczas o sobie, że gdyby zapadł się sufit skromnej izdebki, w której się raz zebraли na pogadankę, naród czeski znikłby z powierzchni ziemi. W ich marzeniach, w ich miłości ojczyzny, ukryte było owo wielkie »nie«, z którego w ciągu lat kilkadziesiąt stworzono wspaniałą gmach dzisiejszej czeskiej potęgi, ten imponujący przedmiot bezsilnej zaciekłości Mommsenów i niezliczonej falangi ich satellitów. Tylko że w tym niewidzialnym embryonie tkwiły nieobliczone bogactwa, skarby zamarłej, uśpionej przez dwa wieki, świetnej tradycyi dzielnego narodu o wielkiej siedmiowiekowej przeszłości. Ale jakich potrzeba było cnót, jakich sił niespożytych, jakiej wytrwałości niezłomnej, żeby z tego zarodka wytworzył się dzisiejszy stan polityczny, ekonomiczny i cywilizacyjny czeskiego narodu: to widać jasno z kilkadziesiątletniej historii odrodzenia Czech, która stanowić będzie zawsze jedną z najpiękniejszych i najbardziej pouczających kart w dziejach XIX wieku.

Tych cnót nam właśnie braknie, nam, przed których patryotyzmem biją czołem nawet nieprzyjaciele. Od Czechów uczyć nam się tej najtrudniejszej praktyki

w miłości ojczyzny, tego heroizmu, który cuda stwarza, nie doznając podniety w ożywczej a uzacniającej świadomości spełnionego bohaterstwa. Bo w tej ciężkiej a tak bogatej w plony pracy, która z niczego odrodziła Czechy, tkwi niewątpliwie olbrzymia suma osobistego poświęcenia, zaparcia się siebie, cichego nawet męczeństwa niezliczonych jednostek, tylko, że tych cnót, wyjątkowych w swoim rodzaju, nie ozłaca uroczy blask świetlanej aureoli, bijącej z wnętrza katorg sybirskich, z ciemnych kazamat Spielberga, z oblanych obfitą krwią nadwiślańskich łąnów...

Ale i oni od nas wiele mogą skorzystać. Nie z tej naszej pięknej, barwnej, wzniosłej tradycyi męczeństwa, ale z nowej, świeżo przez nas nabytej narodowej cnoty, której drogowskaz wytknął Krasieński tymi kilkoma wyrazami, w jego czasach jeszcze tak mało rozumiałymi:

Bądź spokojnością — wśród burz niepokoju —
W zamęcie miarą — i strojem w rozstroju...

Bo my, nędzarze w porównaniu z Czechami, bogatsi jesteśmy doświadczeniem. My nie jedną przeszliśmy Białą Górę — dziesięć ich albo więcej mamy za sobą. I w tych przeprawach zdobyliśmy jeden skarb, dla nas nieoceniony a pożyteczny także i dla Czechów, na którym właśnie zbywa im bardzo: spokojność wśród burz niepokoju, w zamęcie miarę... Nie dziwnego, że im tej cnoty właśnie braknie: w upojeniu, jakiego dzisiaj doznają, patrząc na zdumiewające owoce tych cichych wysiłków całego narodu, których świat cały nie dostrzegał niemal, póki nie ujrzał gmachu, jaki stworzyli z niczego. Upaja ich świado-

mość tej bujnej, nieokiełznanej siły elementarnej, którą tak łatwo miażdżą wszelkie przeciwności, a która jednak, jak wszelka siła, miarą niehamowana, może się złamać: świadczy o tem, chociażby sama Biała Góra. Nas natomiast twarda konieczność uczy tej wielkiej enoty, której nieznałszy przez tyle wieków. U nas, na siedmiu ósmych częściach dawnych ziem polskich, jedynym polem działania, na którym nam wolno praktykować miłość ojczyzny, jest ściśle posłuszeństwo tym mądrym a trudnym do wykonania słowom poety; kwintesencją rozumu politycznego — miarkowanie najdroższych sereu a uprawnionych dążeń narodowych, bez wyrzekania się jakiegokolwiek cząstki tych wszystkich ideałów, któreśmy po ojcach wzięli w spuściznie...

Dziwne czasem powtarzają się analogie w losach narodów.

Pięć wieków już dobiega, jak walczył Żyżka pod Grunwaldem w naszych szeregach. Wówczas wiązał nas od niedawna ścisły sojusz, nie z Czechami, ale z obcą nam, przez długie czasy wrogą Litwą. Z Krzyżakami mieliśmy od kilku dziesiątek lat pokój, przyjaźń niemal łączyła nas z Zakonem Niemieckim. Straszna walka o śmierć lub życie, która zawrzała na polach Grunwaldu, toczyła się o Litwę, której Zakon przysiągł zagładę. W przededniu Wielkiej Wojny wynik jej był niezmiernie wątpliwy. Wtedy to przed wysłańcami polskimi stanęli niemieccy posłowie ze słowami pokoju: »My wasi przyjaciele, z wami nas nie różni; opuście Litwę, od której wycierpieliście tyle, a dochowamy wam wiernie przyjaźni«. Pokusa była wielka; ćwierć wieku jeszcze nie minęło było od chrztu

Jagiellły; Litwa nieraz zdradzała. Dotrzymując sojuszu, Polska wszystko stawiała na kartę, bo potężny Zakon Niemiecki, związany z królem czeskim, z królem węgierskim, z książętami śląskimi, ufny w poparcie całych Niemiec, miał w zanadrzu gotowy projekt rozbioru Polski, w czterysta lat przed jego wykonaniem. Polacy mogli się wahać, bo wartość związku z Litwą była jeszcze bardzo niepewna i różnie o niej myślano, a jednak na owo groźne ultimatum: *Krieg oder Frieden!*, Polacy odpowiedzieli jednogłośnie: **Wojna!**

Nie było w tem politycznej rachuby, wszystko ciągnęło raczej ku sojuszowi z Niemcami; na straży zaprzysiężonej Litwinom przyjaźni stały tylko: uczciwość i honor. I wierna tym dwom hasłom, Polska Jagiellowa nie dała się rozszarpać, lecz stanąwszy mężnie do boju, narzuconego koniecznością nieubłaganą, zadała pod Grunwaldem cios zabójczy Krzyżakom.

W pierwszych dniach grudnia, przed kilku tygodniami, zawołano znów do nas: *Krieg oder Frieden!*, a w ostatnich dniach jeszcze, po debacie adresowej w Sejmie galicyjskim, powtórzono z naciskiem te słowa. Wołają do nas: »Opuśćcie Czechów, wszak to waszych wrogów przyjaciele najserdeczniejsi, Moskalofile. Od nich niczego spodziewać się nie możecie, bo gdyby nawet chcieli, oni wam dać nie mogą. My gotowiśmy dać wam wszystko, czego tylko pragniecie. Czyż wam wolno odrzucać naszą przyjaźń? Pod rosyjskim, pod pruskim zaborem dwie największe potęgi świata przysięgły wam zagładę. Czyż wolno wam lekceważyć w Galicyi większą jeszcze swobodę w rozwijaniu podstaw bytu narodowego, którego owocami podtrzymuje

się gasnące życie narodowe w siedmiu ósmych częściach ziem dawnej Polski?»

Czy mamy się zawahać, czy nam wolno stać na gruncie polityki galicyjskiej? Wszakże biedna nasza prowincya dźwiga rzeczywiście trudny do uniesienia ciężar obowiązków względem reszty ziem polskich, gdzie coraz więcej braknie środków do podtrzymania życia, a cała nadzieja skupiła się w dzisiejszym waryancie starej zwrotki:

Póki jeszcze żyjemy — Polska nie zginęła!

Ale nie ma wyboru! Drogowskazem musi nam być to samo hasło, które w przededniu bitwy pod Grunwaldem ustrzegło nas od hańby: Honor i uczciwość. Niech nam sojusz z Czechami przysparza wrogów, choć i przeciw dzisiejszym trudno wydolać; niechaj się potęguje przeciw Polakom bezprzykładna w dziejach zacięłość Niemców w Prusiech i w Poznańskim: nam inaczej działać nie wolno, bo przestalibyśmy się sami szanować. A gdyby nas nawet sumienie narodowe mogło rozgrzeszyć, ze względu na częste zboczenia Czechów w ostatniej dobie, nie wolno nam zrywać sojuszu z naszymi sprzymierzeńcami, bo bronią nam tego z innej jeszcze przyczyny: Honor i uczciwość.

Jak zwierz, upadający z zmęczenia, szczwany przez psy krwiożercze, polskość żyje, oddycha, krzepi się pod berłem Monarchy, którego ludy obchodzą dziś 50-tą rocznicę jego błogosławionych rządów.

A rozkielznane żywioły, zaiste oblędem jakimś opętane, podały sobie ręce, aby nie zaniedbać niczego, co w dalszym logicznym toku ich roboty wiedzie niechybnie Monarchią nad brzeg przepaści, przysięgły

się na zgubę Dynastyi. My więc, pomni obowiązków wdzięczności, którym nam się sprzeniewierzać nie wolno, a wierni starymu hasłu naszych ojców, stajemy wobec naszych sprzymierzeńców, gotowi do utrzymania sojuszu, i dajemy im na ten rok jubileuszowy, nowe, doniosłe hasło:

Jeszcze A u s t r y a nie zginęła — póki m y żyjemy!

I pod tem hasłem walczyć będziemy mężnie, dotrzymując sobie wiernie zaprzysiężonego przymierza; bez obawy o przyszłość, spokojni w sumieniu, wśród powszechnego zamętu i rozstroju; z zupełną świadomością tego że działamy dobrze, bo jesteśmy i być musimy:

W zamęcie miarą i strojem w rozstroju...

II.

Niemcy.

Sojusze zawiera się zwykle na zasadzie umowy, w której obydwie strony mają prawo stawiać pewne warunki. Jakież być mają warunki naszego przymierza z Czechami?

Jeżeli chodzi o warunki jakiegokolwiek umowy, trzeba być trzeźwym; sentyment złym bywa w takich razach doradcą, a jeśli nim się powodują strony, zawierające umowę, źle to rokuje o wartości i trwałości przymierza. Stwierdźmyż więc przedewszystkiem, że nie tylko mamy prawo stawiać warunki, ale nawet prawo większe od Czechów, gdyż to ich właśnie a nie nasz interes żywotny był tym węzłem, który nas z nimi złączył tak silnie w ostatnich czasach. Zresztą przyzna nam każdy, że w tym sojuszu, na dziś i na jutro przynajmniej, więcej prawdopodobnie tracimy, niż zyskujemy; że wiernością, należną naszym sprzymierzeńcom, wystawiamy nasz wank niejednego z najżywotniejszych interesów całego narodu. Mamy więc prawo, i prawo nie wątpliwe,

stawiać warunki, których dotrzymania możemy się stanowczo domagać, dla wspólnych celów, w interesie rzeczywistej wartości i trwałości przymierza.

Nie żądajmy dla siebie — nie! Będzie to nawet rozumnie, jeżeli nie będziemy sobie wymawiać żadnych korzyści bezpośrednich dla naszego kraju. Nie łudźmy się bowiem: sojusz jest świeży, sympatye nie dawnej daty, trzeba dbać o wzmocnienie i utrwalenie przymierza i unikać wszystkiego, co by mogło Czechów do nas zrażać, budzące się sympatye osłabiać. Nie wymagajmy nawet wyrzeczenia się tego, co nas razi najwięcej; nie żądajmy, żeby się Czesi z dnia na dzień pozbyli entuzjazmu dla »Świętej Rosyi«, który ciągle wśród nich pokutuje; miejmy nadzieję, że się z niego wyleczą, rychlej czy później. Jednego tylko musimy się domagać z stanowczością bezwzględną: tego, bez czego nasze przymierze w obecnem położeniu nie miałoby wartości, byłoby dla nas i dla nich szkodliwem raczej, niż pożytecznem.

Przymierze nasze ma być odporne, i to najściślej odporne, z uroczystem zobowiązaniem, że się unikać będzie nawet wszelkich pozorów zaczepności. Przyznajemy, że z ich strony właśnie padło to mądre słowo: »Wiążemy się nie do walki, ale do wzajemnej obrony, nieprzyjaciółom nie rękawicę rzucamy, lecz niesiemy słowa pokoju«. To może nawet za wiele. Nieprzyjaciół nieprzejednanych, nie naszych tylko, lecz groźnych nieprzyjaciół ładu, władzy, Państwa, Dynastyi, nieprzyjaciół cywilizacyi, zwalczać będziemy z wyczerpaniem sił wszelkich, godziwymi tylko środkami, nie zniżając się do żadnych kompromisów. Ale wrota naszego przymierza będą i muszą być otwarte na oścież. Zapraszamy do niego wszystkich, którzy mają jeszcze odwagę mie-

dny okrzyk, który dobędzie się z zapalem z serca milionów:

Jeszcze Austrya nie zginęła...

A tak nie zginie Austrya, nie upadnie Dynastia, która, świadomie czy nieświadomie, ma sobie powierzone wielkie posłannictwo, największe może, jakie ma być spełnione w przyszłym stuleciu. My zaś, którzy nie potrzebujemy się dopiero w Austrii osiedlać, aby pracować nad tem świętym dziełem; my, którzy tylko z Austrii wyprzeć się nie damy, zapalmy w sercu i w rozumie naszego społeczeństwa to jasne przeświadczenie, że stojąc wiernie z sprzymierzeńcami naszymi przy tronie Jubilata-Monarchy, pełnimy twardą, lecz wdzięczną służbę pod tym samym sztandarem, który wiódł ojców naszych przez dziewięć wieków narodowej przeszłości i powiewał nad największym dziełem narodu, nad Unią z Litwą. A jak im przygrywały w bojach dźwięki pieśni *Boga Rodzica*, tak nas w tej walce, która nas czeka, zagrzewać będzie wzniosła strofa z *Resurrecturis*:

Co świat przezwał snem i marą
Uczyń jawem,
Uczyń wiarą,
Uczyń prawem,
Czemsić pewnem i ujętem,
Czemsić świętem...